



ALEKSANDER
KRAWCZUK



POLSKA
ZA NERONA



Aleksander Krawczuk

Polska za Nerona

Aleksander Krawczuk

Polska za Nerona

Opracowanie graficzne
Andrzej Barecki

Redakcja
Magdalena Słysz

Korekta
Danuta Wołodko

Zdjęcie autora na obwolucie
Jan M. Wilczyński

Copyright © by Aleksander Krawczuk, Kraków 2002
Copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2002
ISBN 83-207-1697-7
Wydanie I
Wydawnictwo ISKRY
ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa
e-mail: iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl



Kiedy bogowie spostrzegli, że nawet oni nie są
w stanie zmienić przeszłości – wymyślili historyków.
Nie wiem, kto pierwszy to stwierdził.

„Dopiero niedawno przekonano się dokładnie, że to wybrzeże Germanii, skąd przywozi się bursztyn, dzieli od Karnuntum w Panonii niemal 600 mil [około 890 km]. Jeszcze żyje ekwita rzymski, wysłany tam przez Juliana, zarządcę igrzysk gladiatorskich cesarza Nerona. Odwiedził on i miejsca handlu, i wybrzeża, a przywiózł tak wiele bursztynu, że można było obciążyć nim węzły siatki, powstrzymującej zwierzęta i osłaniającej podium. Bursztynem również ozdobiono broń i mary [dla wynoszenia zabitych gladiatorów], jak też cały wystrój, zmieniany każdego dnia. Najcięższa bryła ważyła 13 funtów [ponad 4,2 kg]”.

Pliniusz Starszy, *Historia naturalna* (ks. 37, 45)



I

MISENUM, 24 SIERPANIA 79

„MY, PATRZĄCY Z BOKU, BO Z MISENUM, początkowo nie byliśmy pewni, która to góra dymi chmurą. Dopiero później rozpoznano, że to Wezuwiusz. Chmura zaś swym kształtem najbardziej przypominała drzewo, i to właśnie pinię. Wzbijała się bowiem wysoko, jakby pień prosty i bardzo śmigły, tam dopiero rozpościerając szeroko swe gałęzie. Sądzę, że wynosił ją w górę mocny podmuch, który jednak słabł później – albo też ugiwała się pod własnym ciężarem. Wydawała się to biała, to znowu szara i jakby zmiennych odcieni, zależnie od tego, czy niosła popiół, czy też ziemię.

Dzień był dziewiąty przed kalendami września [24 sierpnia], godzina zaś mniej więcej siódma [po wschodzie słońca]. Moja matka pierwsza oznajmiła wujowi, że pokazała się chmura tak niezwykła wielkością i kształtem. On zaś już zażył kąpieli słonecznej i potem zimnej, już zjadł coś leżąc i właśnie zabrał się do studiów. Zażądał sandałów, wszedł na miejsce, z którego najlepiej było można oglądać dziwne zjawisko. Jako człowiek wielkiej uczoności uznał, że to coś ogromnego i godne jest bliższego zbadania. Rozkazał więc natychmiast, aby przygotowano lekki okręt



liburnijski. Dał także mnie możliwość popłynięcia z nim razem, o ile bym zechciał. Odpowiedziałem, że wolę pracować – a właśnie on sam dał mi coś do pisania.

W chwili gdy już wychodził z domu, wręczono mu list od pani Rektyny, przerażonej bliskością niebezpieczeństwa, jej willa bowiem leżała u samych stóp góry i nie było żadnego sposobu wydostania się stamtąd inaczej niż okrętem; błagała więc mego wuja, by ją wyrwał z położenia tak krytycznego. Zmienił plan bezzwłocznie. To mianowicie, co rozpoczął powodowany tylko pasją badania, spełnił wielkodusznie. Wyprowadził na morze trójrzędowce i wszedł na pokład jednego z nich, tamto bowiem wybrzeże było gęsto zamieszkane. Spieszy więc tam, skąd inni uciekają w popłochu. Trzyma kurs i steruje wprost ku groźnie*.

Mowa tu o sławnym wybuchu Wezuwiusza w sierpniu roku 79, tym, który pogrzebał Pompeje. Miejscowość, z której wypłynęły okręty, to Misenum nad Zatoką Neapolitańską, gdzie stacjonowała eskadra rzymskiej floty wojennej. A dowodził nią wówczas Pliniusz. To jego siostrzeniec, Pliniusz Młodszy, młody wtedy człowiek, opisał po latach tamto wydarzenie w jednym z listów do historyka Korneliusza Tacyta (6, 16). W innym zaś (3, 5) przedstawia prace swego wuja:

„Miał wtedy [w chwili śmierci] lat 56. Jest mi prawdziwie miło, że tak pilnie czytając jego pisma chciałbyś mieć je wszystkie i pytasz, ile ich jest razem. Chętnie cię poinformuję i podam również, w jakim powstały porządku. A więc: *O walce jeździeckiej*, księga jedna. Napisał ją, dokładnie i pomysłowo, gdy jeszcze służył w wojsku jako dowódca szwadronu. *O życiu Pompejusza Sekundusa*, księgi dwie. Pompejusz bardzo go miłował, spełnił więc obowiązek należny pamięci przyjaciela. *Wojny z Germanami*, ksiąg dwadzieścia. Zawarł w nich opis wszystkich wojen, jakie prowadziliśmy z tym ludem. Zaczął pisać, gdy jeszcze służył w wojsku w Germanii, napomniany



w widzeniu sennym. Stała przed nim mara Druzusa Nerona – tego, który dokonał tak szerokich podbojów Germanii i tam zginął – polecając, by o nim pamiętał i ocalił go przed krzywdą zapomnienia. *Trzy księgi uczone*, podzielone na sześć tomów, w których kształci mówcę od samego początku. *Wątpliwości językowe*, ksiąg osiem. Pisał je za Nerona, w ostatnich latach jego panowania, kiedy tyrania uczyniła czymś niebezpiecznym każdy rodzaj badań nieco swobodniejszy i szlachetniejszy. *Od końca dzieła Aufidiusza Bassusa*, ksiąg trzydzieści jeden, tamto bowiem [Aufidiuszowe] dobiegało tylko do połowy panowania Klaudiusza. Wreszcie *Historia naturalna*, ksiąg trzydzieści siedem – dzieło obszerne, uczone, bogate i urozmaicone nie mniej niż sama przyroda.

Dziwisz się może, jakim sposobem człowiek bardzo zajęty potrafił napisać tyle woluminów, a w nich poruszyć aż tyle problemów tak skomplikowanych? Otóż zdziwisz się jeszcze bardziej, kiedy się dowiesz, że przez czas jakiś prowadził również sprawy sądowe i że wiele czasu zajęły mu poważne obowiązki oraz pielęgnowanie przyjaźni cesarzy [Tytusa i Wespazjana]. Lecz umysł miał bystry, energię niewiarygodną, czujność zdumiewającą. Dlatego też zwykłem się śmiać, kiedy ten lub ów nazywa mnie pracowitym; mnie, który w porównaniu z nim jestem skończonym leniem! Ale któż z tych, co całe życie ślęczą nad nauką, nie musi wydać się wobec niego człowiekiem oddanym tylko spaniu i nieróbstwu?”

Zapewne większość z nas skłonna byłaby podpisać się pod tymi słowami, porównując dorobek swego życia z Pliniuszowym. To prawda, że miał do pomocy sekretarzy i skrybów. Prawda też, że zwłaszcza *Historia naturalna* oparta jest na ekscerptach z dzieł mnóstwa autorów, uczciwie zresztą wymienianych. Niemal jednak w każdej sprawie, której dotyka w owej encyklopedii, ma również własne zdanie i uwagi, także moralizatorskie. My natomiast dysponujemy wszystkimi zdobyczami nowoczesnej techniki, z kompute-



rami i internetem włącznie, nie mówiąc o przeróżnych indeksach, słownikach, bibliografiach, doskonalonych przez pokolenia badaczy. Współczesny uczyony zazwyczaj żyje w zaciszu swego gabinetu, pracowni, biblioteki, wolny od uciążliwości, jakie nieuchronnie niesie udział w życiu publicznym i sprawowanie odpowiedzialnych urzędów – chyba że sam tego pragnie i na to się godzi. Pliniusz natomiast od takich obowiązków uchylić się nie mógł.

Należał do stanu tak zwanych ekwitów, czyli jeźdźców; nazwa stała, że jego przedstawiciele w dawnych wiekach jako zamożniejsi służyli w wojsku z własnym koniem (*equus*). Była to jednak w początkach cesarstwa przeszłość bardzo odległa. Ekwici już od dawna stanowili warstwę bogatych przedsiębiorców, można by rzec – biznesmenów. Sprawowali też wyższe – choć formalnie nie te najwyższe – urzędy w różnych działach administracji państwowej, a więc także cesarskiej, nosząc tytuły prokuratorów i prefektów; w wojsku służyli jako oficerowie, czyli trybuni. W skład senatu nie wchodził, ten bowiem tradycyjnie reprezentował interesy wielkich posiadaczy ziemskich i starych rodów – chyba że powodowani ambicją zabiegali o karierę polityczną i urzędy otwierające drogę do niej.

Ze wszystkich wymienionych dzieł Pliniusza zachowało się tylko jedno, *Historia naturalna*; tytuł ten najlepiej byłoby tłumaczyć „Badania przyrodnicze”. Jest to rodzaj wielkiej encyklopedii rozumowanej, to jest ułożonej nie według haseł, ale działami: kosmogonia, geografia, nauka o człowieku i zwierzętach, botanika, medycyna i leki, metalurgia, malarstwo, minerały. To jedyna znana nam encyklopedia starożytna! Kopalnia informacji o wszystkich dziedzinach ówczesnego życia, o tym, co Grecy i Rzymianie wiedzieli o zjawiskach natury, pomnik niewiarygodnego wręcz wysiłku jednego człowieka. A zarazem rzecz ta ma swoje walory językowe, pełna jest przeróżnych refleksji, stanowi świadectwo epoki, osobowości autora.



Pliniusz, uczony i dowódca, spełnił do końca swe obowiązki: chciał zbadać niezwykle wydarzenie i jednocześnie nieść pomoc zagrożonym. Zginął prawdziwie na posterunku, w domu u stóp Wezuwiusza, ale śmiercią łagodną, podczas snu. Bezpośrednią przyczyną zgonu było zapewne niedotlenienie serca w atmosferze przesyconej wylęgami wulkanu. To wynika z opisu, jaki przekazał jego siostrzeniec, pozostawiony w Misenum. Zwłoki odnaleziono i pochowano po trzech dniach (6, 16). A i Pliniusz Młodszy usiłował naśladować odważną postawę wuja. Czynił to może trochę śmiesznie, jakby pozował, sam to przyznaje. Czytał mianowicie i ekscerpował księgi historyczne Tytusa Liwiusza, choć ziemia drżała tak mocno, że strach było przebywać pod dachem. W pomroce słyszało się szlochanie kobiet, płacz dzieci, rozpaczliwe wołania tych, co szukali swych najbliższych. Jedni modlili się głośno i wręcz prosili bogów o rychłą śmierć, ale jeszcze więcej głośno, że nie ma już bogów, a noc, która zapada, jest nocą ostatnią, wieczną, śmiercią i zgonem wszystkiego.

Tyle o autorze notatki o wyprawie po bursztyn za panowania Nerona i o jego dziele; notatki krótkiej, lecz konkretnej, wiarygodnej – i jedynej. Tak jak sam Neron jest jedynym cesarzem rzymskim, o którym możemy powiedzieć z całą pewnością, właśnie dzięki Pliniuszowi, że zaszczycił swoją uwagę późniejsze ziemie Polski i wysłał tam wyprawę. To fakt historyczny i bezsporny. Wyprawa miała wprawdzie cele handlowe – ale czy tylko? Wysyłał przecież Neron ekspedycje w różne, odległe strony, bo i na Kaukaz, aż ku wybrzeżom Morza Kaspijskiego, i nawet do Etiopii, do źródeł Nilu. Podobno marzył o tym, by pójść w ślady Aleksandra Wielkiego. Z całą pewnością byli też inni imperatorzy, przed nim i po nim, interesujący się z jakichś powodów krajem nad Wisłą (nazwę tej rzeki w formie Vistula Rzymianie znali), o tym wszakże dostępne dziś źródła milczą.



POLSKI TŁUMACZ PLINIUSZA

DZIEŁO PLINIUSZA Z NATURY RZECZY nie było przeznaczone do ciągłej lektury, lecz raczej do studiowania poszczególnych ksiąg i części przez czytelnika zainteresowanego danym zagadnieniem; tak było w starożytności, tak bywa też obecnie. Przekład rzeczy encyklopedycznej, pełnej wszelkiego rodzaju informacji, wymaga oczywiście ustawicznego sprawdzania danych, porównywania z aktualnym stanem wiedzy, a przede wszystkim szukania odpowiednich terminów współczesnych dla wyrazów łacińskich. Podobny kłopot miał zresztą sam Pliniusz, kiedy przychodziło mu tłumaczyć z greckich autorów, a oni stanowili jego źródło najważniejsze.

Z tym większym szacunkiem i podziwem winniśmy patrzeć na niezwykle osiągnięcie, jakim jest polski przekład całej *Historii naturalnej*, dokonany w pierwszej połowie wieku XIX i opublikowany w Poznaniu w 1845 roku wraz z tekstem łacińskim w dziesięciu tomach. Z podziwem tym większym, że dokonał tego dzieła tylko jeden człowiek. Był nim Józef Łukaszewicz.

Postać to niezwykła i zasłużona dla naszej kultury, dziś jakby zapomniana – może z wyjątkiem kręgu miłośników Poznania i Wielkopolski oraz badaczy historii szkolnictwa i reformacji w Polsce. Dzieła jego są tak liczne, różnorodne i wciąż wartościowe, że pod względem pracowitości i rozległości zainteresowań na pewno zasługuje na porównanie z autorem, którego księgi przyswoił polszczyźnie, czyli z Pliniuszem.

Urodził się w roku 1799 w Wielkopolsce, w skromnej rodzinie urzędniczej. Dzieciństwo i młodość miał ze względów materialnych trudne. Uczył się w szkołach franciszkańskich, ale także u pastora niemieckiego, człowieka wielkiej kultury. Wyniósł z tych lat dobrą znajomość łaciny, zamiłowanie do książek, a także zainteresowanie dziejami innowierstwa w Polsce. Studiował w Krako-



wie, gdzie zawarł bliższą znajomość z wielkim bibliofilem i uczonym, Jerzym Samuelem Bandtkiem. Po powrocie do Poznania zyskał zaufanie i opiekę wspaniałego mecenasa kultury i miłośnika starożytności, jakim był Edward Raczyński. Najpierw wyszukiwał dla niego, ale także dla Tytusa Działyńskiego i biblioteki kórnickiej, rzadkie dzieła w kraju i za granicą. Od roku 1829 piastował przez ponad dwadzieścia lat godność pierwszego dyrektora biblioteki Raczyńskich, a więc odpowiednika galicyjskiego Ossolineum. Kierował archiwum poznańskim, współpracował z tamtejszymi pisarzami naukowymi. Ostatnie lata spędził w odziedziczonym przez żonę majątku ziemskim pod Krotoszynem. Zmarł w roku 1873. Przeżył jako chłopiec czasy napoleońskie, potem powstanie listopadowe, Wiosnę Ludów, powstanie styczniowe; udziału w powstaniach nie brał, a nawet je potępiał.

Pisał dużo. O dysydentach w Poznaniu, o kościołach braci czeskich w Wielkopolsce, o Poznaniu w dawnych czasach, o kościołach wyznania helweckiego na Litwie i osobno w Małej Polsce. Jego największe dzieła to: czterotomowa *Historia szkół w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim*; trzytomowy historyczny opis kościołów oraz wszelkich budowli sakralnych i instytucji przykościelnych w dawnej diecezji poznańskiej; dwutomowy opis miast i wsi w powiecie krotoszyńskim. Wszystkie te książki, oparte na materiałach źródłowych, mimo różnych niedostatków są wciąż cennie i poszukiwane. Niektóre przetłumaczono na niemiecki.

„Był to człowiek, dla którego poza polskimi dziejami i poza polską sprawą nic nie istniało”. Ratunek jednak upatrywał przede wszystkim w pracy materialnej, w pielęgnowaniu języka, dziejów i literatury ojczystej. W zamiarach powstańczych widział jedynie nieszczęście dla ogółu. Tak charakteryzował go współczesny mu, nieco młodszy krajan Marceli Motty w swych *Przechadzkach po mieście* [Poznaniu].



Niechętny arystokracji – choć niektórych jej przedstawicieli, jak choćby Edwarda Raczyńskiego, bardzo cenił – był wręcz wrogiem szlachecczyzny. Gniew obozu katolickiego ściągnął na siebie pracami o historii kościołów protestanckich w Polsce oraz zdecydowanym antyjezuityzmem. Był zdania, podobnie jak Lelewel, z którym korespondował, że jezuicki system wychowania walnie przyczynił się do upadku Polski. Ale nie tylko ich krytykował. W swej *Historii szkół* opowiada szeroko, niewątpliwie rozmyślnie o tym, jak Akademia Krakowska zapragnęła mieć świętego patrona – skoro rywalizujący z nią jezuici chlubili się św. Stanisławem Kostką. Na proces kanonizacyjny wydała w ciągu pokoleń ogromne pieniądze. Mimo wkładu kapitału w pewnym momencie groziło, że zamiast do kanonizacji Jana Kantego dojdzie do wyrzucenia jego szczątków z kościoła. Zrodziło się mianowicie podejrzenie, że należał on do potężnego w wieku XV nurtu koncyliarystów; głosił on, że w sprawach wiary autorytet soboru góruje nad zdaniem papieża. Ułagodzenie gniewu kurii i opłacanie adwokatów znowu wymagało niewiarygodnych nakładów.

Kanonizacja w Rzymie nastąpiła w 1767 roku, a na rok następny przewidziano uroczystości w Krakowie. Tymczasem zawiązała się konfederacja barska. Pisze Łukaszewicz: „Przez pięć lat niszczył nieprzyjacieli i swoi wzdłuż i wszerz Polskę. Kraków do reszty podupadł, kraj został rozebrany, na gruzach zakonu jezuitów ustanowiono komisję edukacyjną, szkoły pijarskie rozwijały się coraz pożyteczniej dla kraju [...] – a Akademia Krakowska? Nie myślała o niczym więcej tylko o swoim świętym i wyprawiła na cześć jego dnia 15 lipca 1775 roku najokazalszą rocznicę kanonizacji”.

Podaje opis owej celebry słowami jej naocznego świadka, księdza Józefa Putanowicza: „Kraków zdawał się w ten dzień szczupłym [...]. Wszystkie dachy kamienic okryte były spektatorami. Góra Wawel zdawała się zarosła gęstwą ludu. Ulice, którymi prze-



chodziła procesja, przybrane były w różne bławaty i szpalery. Ulica św. Anny dla uniknięcia jakowego nieporządku we wszystkich swych wejściach strzeżona była od uproszonego rosyjskiego garnizonu, trzymającego na ów czas komendę miasta”.

Ostatnie zdanie przytoczył Łukaszewicz drukiem pochyłym, a sam od siebie dodaje: „Tak się pobożnie bawiła w świętych matka nauk w Polsce, podczas gdy kraj obcą przemocą świeżo rozszarpany wołał na nią daremnie o ludzi zdatnych do rozmaitych posług publicznych”. Rzeczywiście: prostoduszne słowa relacji Putanowicza urastają do rangi symbolu, w którym zawiera się wszystko.

Trudno się dziwić, że gdy powstał projekt założenia uniwersytetu w Poznaniu, kandydatura Łukaszewicza upadła natychmiast z powodu oporu kleru. Natomiast w ponad pół wieku później słowa najwyższego uznania poświęcił mu Stanisław Kot, autor *Historii wychowania*, wielki badacz dziejów reformacji w Polsce.

Przekład Pliniusza to owoc długoletniej, ogromnej pracy, której podjął się autor na prośbę Edwarda Raczyńskiego. Zamierzał on dać społeczeństwu zbiór pisarzy łacińskich – po jednej stronie tekst oryginału, po drugiej przekład polski. Właśnie tak wydawano już wówczas i wydaje się do dziś całe serie autorów klasycznych we Francji, Niemczech, Anglii. Ukazało się w tym zbiorze Raczyńskiego kilkanaście pozycji, między innymi dzieło Witruwiusza *O architekturze*. Największą, ale i ostatnią pozycją była właśnie *Historia naturalna* Pliniusza. Została opublikowana w roku 1845, już po samobójczej śmierci Edwarda Raczyńskiego. Jego wielka idea nigdy nie doczekała się kontynuacji w tej formie. Owszem, mamy różne cenne serie przekładów, ale bez tekstu oryginału. W jednej z nich, w ramach Biblioteki Narodowej, ukazało się tłumaczenie *Historii naturalnej* w wyborze Ireny i Tadeusza Zawadzkich, z ich wstępem i komentarzami. O przekładzie całości, o ile wiem, nikt nawet nie myśli. I na pewno nikt w pojedynkę te-



go nie dokona. A rzecz byłaby potrzebna; mamy przecież nowe, krytyczne wydania tekstu łacińskiego, przekład z połowy wieku XIX jest językowo nieco archaiczny i niewolny od pomyłek, wokół zaś każdej informacji podanej przez Pliniusza wyrosła ogromna literatura fachowa. Oczywiście dotyczy to także tego, co mówi on o bursztynie. Aby więc sprostac zadaniu, trzeba by powołac osobna pracownię akademii, zatrudnic na etatach kilku filologów, historyków, archeologów, zasięgać w miarę potrzeby opinii konsultantów. A więc fundusze z KBN, granty, wyprawy do bibliotek zagranicznych, komputery – i przynajmniej ćwierć wieku spokojnej pracy. Tak to się obecnie robi. Nie tylko Łukaszewicz, ale także ludzie mego pokolenia urodzili się za wcześnie.

ELEKTRON

FAETON, SYN BOGA SŁOŃCA HELIOSA, uprosił swego ojca, by pozwolił mu odbyć drogę po kręgu niebios, powoząc słonecznym rydwanem choćby tylko przez dzień jeden. Nie zdołał jednak – co ojciec z trwogą przewidywał – ujarzmić ognistych rumaków. Poniosły, a kiedy rydwan zboczył z drogi, pożar ogarnął ziemię, sam zaś Faeton zginął rażony piorunem Zeusa. Opłakiwały go rzewnie siostry, Heliady, pogrążone w takiej żalości, że litościwi bogowie zamienili je wreszcie w topole rosnące nad brzegami rzeki Eridanos, którą Rzymianie utożsamiali później z Padem. Nieustannie zaś ciekące łzy Heliad, stwardniałe od słońca, stały się jakby kamieniem, któremu Grecy dali nazwę *elektron*, czyli jaśniejący, świetlisty (od wyrazu *elektor*, promieniste słońce).

Mit ten opowiadało w różnych wersjach wielu dawnych poetów greckich, a szczególnie pięknie i szeroko przedstawił go po łacinie Owidiusz w swych *Metamorfozach* (ks. 2). Pliniusz natomiast, jak przystało na uczonego, surowo gani owych greckich twórców, pisa-